

# DOM KLEPSYDRY

The central image is a large, stylized hourglass. The top bulb of the hourglass contains a detailed illustration of a grand, multi-story building with a central tower and a crescent moon in the sky. The bottom bulb contains a 3D architectural puzzle of a similar building. The hourglass is supported by four vertical pillars. The background is a diamond-patterned checkerboard of blue and red.

Odwróć  
klepsydrę

Rozwiąż  
zagadkę

GARETH RUBIN

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE TURNGLASS

Copyright © Gareth Rubin 2023  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Robert Waliś 2024

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Pip Watkins/S&S Art Dept.

Opracowanie graficzne wydania polskiego: Agnieszka Drabek

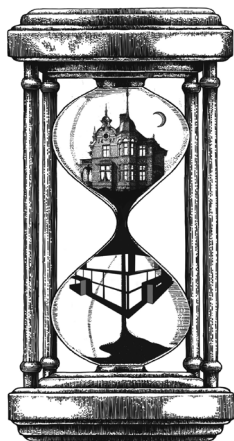
Ilustracje na okładce: © Shutterstock

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros





**DWA DOMY O TEJ SAMEJ NAZWIE W RÓŻNYCH  
CZĘŚCIACH ŚWIATA.**

**DWIE TAJEMNICZE HISTORIE, KTÓRE SPLATAJĄ SIĘ W  
JEDNĄ ZAGADKĘ KRYMINALNĄ.**

To nie jest pierwsza lepsza książka.

Ta powieść to tetbeszka – dwie książki w jednej.

Dwie przeplatające się ze sobą i uzupełniające się historie, choć  
każda tworzy zamkniętą całość.

Możesz zacząć czytać od dowolnej historii lub czytać rozdziały  
obu naprzemiennie.

Anglia lat 80. XIX wieku czy Los Angeles na początku lat 20.  
XX wieku?

**Decyzja należy do Ciebie.**

**Jesteś gotowy?**

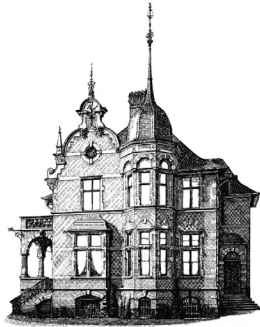
**W takim razie... zaczynamy!**

**ODWRÓĆ KLEPSYDRĘ i ROZWIĄŻ ZAGADKĘ!**

ANGLIA, LATA 80. XIX WIEKU

KALIFORNIA, LATA 30. XX WIEK

ANGLIA, LATA 80. XIX WIEKU



## ROZDZIAŁ 1

*Londyn, 1881*

Szare oczy Simeona Lee były widoczne ponad chustką, którą obwiązał twarz, by chronić się przed smrodem cholery. Otaczał go odór ciał gnijących w noclegowniach i kostnicach.

– Królowa puka do drzwi – mruknął pod nosem.

– Nie możemy inaczej jej nazywać? – spytał jego przyjaciel Graham, który zakrył nos i usta wilgotnym szalem. – Nie podoba mi się to określenie. Sugeruje, że jesteśmy jej coś winni. A wcale tak nie jest.

– A jednak przyjdzie po swoje.

– Myślisz, że będzie kolejna epidemia?

– Oby nie. – Nie, Simeon miał nadzieję, że to tylko lokalne ognisko choroby.

Ci dwaj, którzy przez całe lata wspólnie przygotowywali się do pracy polegającej na leczeniu chorych i pocieszaniu zdrowych, wędrowali Grub Street, w sercu Londynu sięgającym czasów starożytnego Rzymu. Stojące tu budynki wykorzystywała branża drukarska – mieściły się w nich siedziby dzienników i czasopism, które opisywały codzienne intrygi, przyjemności i smutki życia.

Rynsztokiem na środku ulicy płynął tusz.

Gdy dotarli do wspólnego lokum, Simeon odrzucił chustkę.

– Musimy znaleźć jej słaby punkt – powiedział. Myślał o chorobie jak o zwierzęciu, na przykład wściekłym psie. Bakterie były zbyt małe, żeby je zobaczyć, a jednak wystarczająco silne, by pociągnąć całe fale mężczyzn, kobiet i dzieci do grobu. Podstępni mali mordercy. – Każda choroba go ma.

Doktor Simeon Lee miał pociągłą, szczupłą twarz i wysoką, smukłą sylwetkę, która teraz zwinnie sunęła w górę schodów prowadzących do ich pokoju – a raczej mieszkalnego strychu – nad drukarnią, gdzie prasy hałasowały przez całą dobę. To miejsce mu odpowiadało, ponieważ mógł pracować, kiedy większość ludzi odpoczywała. Poza tym pokój był tani. Bardzo tani. Jego badania przerwał po kilku miesiącach brak funduszy, więc starał się oszczędzać każdego pensa.

– Słaby punkt jest, czuję to – mówił dalej, ani na chwilę nie tracąc wątku. – Psiakrew, od stu lat jesteśmy w stanie chronić się przed ospą. Dlaczego nie przed cholera? – Wyrzał przez brudne wypaczone okno, za którym zobaczył ciemność grudniowego smogu.

– Już to mówiłeś, kilka razy. Zaczynasz mieć obsesję. – Graham się zawahał. – Wiesz, że nie przysparza ci to zwolenników w szpitalu.

– Zadziwiasz mnie. – Simeona ani trochę nie obchodziło, co myślą o nim wiekowi wężsaci osobnicy, kierujący szpitalem King's College. Niech popracują w kamienicach i melinach wokół St Giles, a może zmienią nastawienie.

Jego przyjaciel lekceważąco wzruszył ramionami.

– Jak zamierzasz znaleźć ten cudowny lek?

– Jak? – Simeon prawie parsknął śmiechem. – Dzięki pieniądzom. Potrzebuję pieniędzy. Potrzebuję stypendium Macintosha. – Rozwiązał krawat i opadł na nadpaloną ławę, którą znaleźli na chodniku w Marylebone. – Tymczasem ludzie padają jak muchy

w swoich domach, zupełnie jakbyśmy mieli do czynienia z czarną śmiercią. – Poprawił się na uszkodzonym siedzisku, żeby znaleźć wygodną pozycję. – Biedak na ulicy ma mniejszą szansę dożyć do trzydziestki, niż ja otrzymać tytuł szlachecki. Dobry Boże, gdyby Robertson i reszta tylko nas posłuchali, moglibyśmy coś z tym zrobić! – Przyjaciel mu nie przerywał, gdy Simeon rozpędził się, narzekając na władze uczelni medycznej, które wciąż wykazywały się całkowitym brakiem otwartości na nowe pomysły. – Czas i pieniądze. Tylko tego trzeba, żeby znaleźć lekarstwo. Wystarczająco dużo czasu i pieniędzy.

Jego gniew brał się z frustracji. Niewiele rzeczy tak go irytowało jak myśl, że owoce trzech lat jego pracy kurzą się na biurku. Każdego miesiąca członkowie rad stypendialnych w uczelni medycznej kręcili nosem na jego propozycje, podczas gdy kolejnych męczczyzn, kobiety i dzieci zabierała choroba.

– Myślisz, że je dostaniesz?

– Albo ja, albo Edwin Grover. Potrzebuje funduszy na swoje badania nad analgezyją.

– Grover to bystry gość.

– Owszem, na papierze. Ale w praktyce to kretyń. Jego praca jest zbyt teoretyczna. Nie bierze pod uwagę tego, w jaki sposób miałby wbić szwacze igłę w rękę. – Simeon z irytacją postukał knykiami w blat stołu.

Grover spędzał całe dnie na ostatnim piętrze całkiem eleganckiego domu przy Soho Square. Rzadko opuszczał mieszkanie, gdyż nie miał takiej potrzeby. I zapewne również ochoty.

– A jeśli nie dostaniesz pieniędzy?

– Wtedy, mój przyjacielu, będę musiał zamiatać ulice za marne pensy. – Simeon szarpnął loczek nad czołem.

– Zmarzniesz.

– Niewątpliwie.

Graham odchrząknął.

– A co z tamtą robotą w Essex? Byłoby z niej nieco grosza.

Simeon z zaskoczeniem uniósł brwi.

– Mój Boże, całkiem o niej zapomniałem. – Wyrzucił to z pamięci, gdy tylko poprzedniego dnia odłożył telegram.

– Chodzi o twojego wuja, zgadza się?

– Niezupełnie. O kuzyna ojca.

– Chce ci zapłacić.

To była prawda, ale propozycja wydawała się niezbyt kusząca.

– Opieka nad wiejskim proboszczem, który wmówił sobie, że stoi u wrót śmierci, chociaż pewnie wytrzymałby dziesięć rund w ringu z Danielem Mendozą.

– Potrzebujesz tych pieniędzy.

Simeon zaszępił się. To akurat nie ulegało wątpliwości. Ale czułby się jak tani wyrobnik, lecząc człowieka, który zapewne potrzebował jedynie ograniczenia ilości porto i od czasu do czasu szybkich spacerów. Tyle że te pieniądze pozwoliłyby mu wrócić do prac nad lekarstwem.

– Biorę to pod uwagę – przyznał. – Chociaż Bóg raczy wiedzieć, ile zdołam z niego wycisnąć. Wiejski proboszcz raczej nie sypia na pieniądzach.

– To prawda. Może przynajmniej miły z niego gość?

Simeon wzruszył ramionami.

– Niewątpliwie to jeden z tych cichych starych kapłanów, którzy spędzają czas na czytaniu traktatów biskupa Usshera o tym, że świat liczy sobie sześć tysięcy lat.

– Mogłoby być gorzej. Mieszka sam?

– Ano właśnie. – Simeon zachichotał pod nosem. – Tutaj sytuacja staje się dość... intrygująca.

– To znaczy?

– To rodzinny skandal.

– Skandal? Mów dalej.

– Nie wiem wszystkiego... ojciec nie chciał zdradzić mi szczegółów. Ale o ile się nie mylę, brat proboszcza zginął w dość podejrzanych okolicznościach z ręki własnej żony. Jedno z nich



chyba było obłąkane. Powiniennem się tego dowiedzieć. Owszem, taka pikantna historia może stanowić odskocznnię od nudnej pracy, ufam jednak Opatrzności, że rada stypendialna się opamięta.

Następnego popołudnia Simeon zajął miejsce na twardej wypolerowanej ławce przed salą komisyjną w King's College. Edwin Grover, elegancko odziany, siedział na identycznej ławie naprzeciwko.

– Wciąż zajmujesz się cholera? – spytał.

– Tak. Nic się nie zmieniło.

Grover nie miał więcej pytań.

Skrzypnęły drzwi i stary portier wyszedł z sali komisyjnej.

– Doktorze Grover? Proszę za mną.

Grover podążył za nim. Drzwi zamknęły się z hukiem, który odbił się echem na korytarzu.

Opuścił salę dopiero godzinę później, wyraźnie zadowolony z siebie. Na widok jego miny Simeon zaklął pod nosem. Przyszła jego kolej.

Wszedł, usiadł na drewnianym krześle przed grupą pięciu mężczyzn i wyłożył swoje plany wyleczenia jednej z najbardziej zabójczych chorób tej epoki.

– Doktorze Lee, zapoznaliśmy się z pana wnioskiem oraz załączoną dokumentacją – oznajmił ponurym tonem jeden z członków komisji. – Nasuwa nam się jedno pytanie.

– Tak, słucham?

– Jaki ma pan dowód na to, że pana działania przyniosą jakikolwiek skutek?

To nie było przyjazne pytanie.

– Mógłby pan uściślić?

– Pana dotychczasowe wyniki... – członek komisji zerknął do dokumentów – nie robią dużego wrażenia. Jak rozumiemy, niczego pan nie osiągnął.

- Nie sędzę, żeby...
- W odróżnieniu, na przykład, od drugiego kandydata, który opublikował dwa artykuły na łamach pisma „Lancet”.

Zapowietrzzone rury w ścianach stukały i wyły.

- Bardzo szanuję akademickie publikacje...
- Tymczasem u pana widzimy jedynie kolejne wnioski o finansowanie.

Simeon zacisnął zęby.

- Jestem przekonany, że efekt będzie wart tej inwestycji – oświadczył.

– Ale jaki to będzie efekt? No i o jak dużej inwestycji mówimy?

– Myślę, że trzysta funtów byłoby...

– Trzysta funtów? W celu leczenia choroby, która obecnie występuje jedynie w slumsach? – Wśród członków komisji rozległy się pomruki aprobaty dla słów kolegi. – Osoby, które mieszkają w takich miejscach, są do tego przyzwyczajone. Rodzą się do takiego życia.

– Gdyby panowie spędzili w ich towarzystwie tyle czasu co ja, wiedzieliby panowie, że wielu z nich wołałoby nie żyć w taki sposób.

– To znaczy? – spytał starszy lekarz.

– To znaczy, że widziałem mnóstwo dzieci w wieku poniżej pięciu lat, które były skazane na pełne bólu krótkie życie. Czasami kusiło mnie, by skrócić ich cierpienia, zamiast patrzeć na nieunikniony upadek.

– No cóż, to sprawa między panem a Bogiem. Tutaj zajmujemy się pana wnioskiem o stypendium.

– Oczywiście. Przepraszam, że odbiegłem od tematu. W odpowiedzi na pana konkretne pytanie: nie udało nam się zdobyć materiału do badań nad szczepionką, pochodzącego z ludzkich źródeł. Uważam, że moglibyśmy go pozyskać od zwierząt. Na przykład jeśli wystawimy na działanie choroby naszych

najbliższych krewnych, goryle, a następnie pobierzemy od nich krew, możliwe, że przy dużym stopniu powinowactwa będziemy mieli zapewnioną ochronę przed zarazkiem.

– Chce, żebyśmy wszyscy huścili się na drzewach – mruknął jeden z mężczyzn.

Kiedy Simeon wrócił do swojej kwatery, otwarta butelka czerwonego wina stała na kufrze, którego używali jako stołu. Wypił do dna, zerknął na przyjaciela, który chrapał w swoim łóżku, i wyjrzał przez okno. Na ulicy było cicho jak w grobie.

Po chwili zauważył, że butelka na czymś stoi: na telegramie. Poprzedniego dnia posłał wiadomość do ojca; zapytał o morderczy incydent wśród jego krewnych w Essex, który dwa lata wcześniej stał się obiektem jadowitych plotek. Odpowiedź nadeszła szybko: *Twoim obowiązkiem jest leczenie ludzi. Myśl tylko o tym. Na długo przed tamtymi brutalnymi wydarzeniami krążyły plotki o rzekomych nikczemnych czynach. Wcale mnie to nie dziwi. Dom Klepsydry zawsze miał w sobie coś zepsutego i chorego. Pozostaw to Bogu i władzom.*

Simeon nie mógł nie zauważyć, że ojciec – który zazwyczaj nie uciekał się do poetyckiego języka – stwierdził, iż to sam dom, a nie zamieszkująca go rodzina, miał w sobie „coś zepsutego i chorego”. Zaciekało go to.

Nie znał dalekich krewnych, którzy mieszkali w Domu Klepsydry. Dorastał setki mil na północ, na brukowanych ulicach Yorku, jako jedyne ocalałe dziecko rodziców, którzy tylko czasem się nim interesowali, a w wieku dziesięciu lat został odesłany do szkół. Jego ojciec, radca prawny, którego zakurzona kancelaria zajmowała się potrzebami zakurzonych arystokratów, uznał medycynę za rozsądny wybór ścieżki zawodowej, chociaż matka zapewne wolałaby, by Simeon praktykował w jakimś modniejszym przybytku przy Harley Street. Jej późniejszy krytyczny stosunek

do jego pracy nad badaniem i leczeniem chorób zakaźnych nie zdołał go zniechęcić.

A zatem Essex, pomyślał.

Wyspa Ray leży na słonych mokradłach na skraju wybrzeża Essex. To, czy rzeczywiście jest wyspą, zależy od wód przyływu, ponieważ znajduje się między ujściami rzek Colne i Blackwater. Podczas przyływu jest odcięta od lądu, a samotny dom, który się na niej wznosi, sprawia wrażenie odosobnionego, oderwanego od świata. Fale morskie wlewające się pomiędzy ląd a wyspę pokrywa dywan splątanych wodorostów, które przypominają palce topielców. Wodorosty dryfują strumykami rozlewiska aż do wioski Peldon na stałym lądzie. Staw przed tamtejszą tawerną Peldon Rose od dawna służy jako schowek dla łowców ostryg, którzy dorabiają sobie sprzedają przywiezionych z kontynentu brandy i tytoniu, z pominięciem słonego podatku akcyzowego. Na dnie stawu znajduje się drewniana kłapa, którą można podnieść, by spuścić wodę i odsłonić ukryte beczki zapieczętowane smołą. Wewnątrz jest wino, które trafia do wszystkich tawern w Colchesterze, a także koronki, chętnie kupowane przez handlarzy sukniem.

W Essex niemal nie płaci się akcyzy, mimo że przez hrabstwo przechodzi jedna czwarta wszystkich importowanych towarów. Oczywiście poborczy podatkowi wiedzą o tym procederze, ale odkąd pewnego ranka kilka lat temu znaleziono dwudziestu dwóch z nich dryfujących na łodzi, z poderżniętymi gardłami, ich koleldy po fachu niechętnie ingerują w lokalny handel.

Na sąsiedniej wyspie, Mersei, dziesięciokrotnie większej, stoi około pięćdziesięciu domów i jest plaża zwana Hard. Na obu wyspach rosną złote kowniatki nadmorskie i fioletowe zatrwany, a żwirowo-gliniana gleba przyciąga brodzące i latające ptactwo, takie jak ostrygojady czy kazarki.

Ludzie, którzy odwiedzają te wyspy, muszą się jednak mieć na baczności.

Podczas odpływu wyłania się spod ustępujących słonych wód wąska grobla zwana Strood. Prowadzi ona ze stałego lądu na Ray, biegnie w poprzek tej mierzającej milę wyspy, a następnie do Mersei. Ale każdy, kto nią ruszy, musi znać kalendarz przyptywów. Grozi mu uwięzienie na wyspie Ray, gdzie stoi tylko jeden dom, lecz przede wszystkim zaplątanie się w wodorosty. Niemal każdego roku, odkąd przybyli tu starożytni Rzymianie, co najmniej jedna osoba pada ofiarą wodorostów. Unoszą się w wodzie bez ruchu i w całkowitej ciszy, bez cienia skargi, a ich dłonie powoli się łączą.

Gdy tylko Simeon zsiadł z wozu przed Peldon Rose, od razu wyczuł w powietrzu woń zatrwanów. Po drodze woźnica ze śmiechem wychwalał miejscowy – nie do końca legalny – przemysł, więc teraz Simeon zerknął w ton stawu, ale zobaczył tylko mętną wodę. Czuł w ustach smak soli, aż lekko paliło go w gardle. Kilka razy przełknął ślinę, by pozbyć się tego doznania, zanim zrozumiał, że będzie musiał do niego przywyknąć.

– Dzień dobry panu – rozległ się czyjś głos. Właściciel tawerny, żyłasty jegomość z okazałymi bokobrodami, stał w progu, pykając długą fajkę. – Wejdzie pan?

– Owszem, bardzo chętnie – odpowiedział Simeon radośnie, po czym zarzucił torbę podrózną na ramię i podniósł z ziemi czarną torbę lekarską.

– To dobrze. Pewnie coś pan przekąsi i łyknie piwa.

– Doskonały pomysł.

Simeon przyjrzał się budynkowi. Była to szeroka parterowa wiejska tawerna o poszarzałych bielonych wapnem ścianach. Był głodny i perspektywa gorącego posiłku podtrzymywała go na duchu podczas godzinnej podróży ze stacji w Colchesterze do jego

nowego pacjenta, proboszcza Olivera Hawesa, a raczej doktora Hawesa, ten był bowiem doktorem teologii.

– No to zapraszam, młody człowieku.

Simeon z ochotą przyjął zaproszenie.

W szynku siedziało ośmiu mężczyzn w typowych ubraniach rybaków. Każdy palił długą cienką białą fajkę, identyczną jak ta w ustach karczmarza. Simeona zaciekawiło, czy potrafią je odróżnić. Były tam także trzy kobiety, które w milczeniu obserwowały go z kąta izby, niczym boginie losu.

– Wejdz, młodzieńcze – rzekł właściciel. – W Rose zawsze ciepło witamy gości. Odstaw torbę. Właśnie tak. Jenny! Jenny! Przynieś chleba i dwanaście... nie, szesnaście ostryg. Wygląda na głodnego. Chyżo, dziewczyno.

Nawet nie próbował pytać, czy to zamówienie odpowiada nowemu klientowi. Po kilku sekundach Jenny, mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka, pojawiła się z pieczywem i stertą ostryg. Właściciel przyniósł mały kufel piwa i zaprosił Simeona do baru. Zdawało się, że wszyscy czekają, aż gość zacznie jeść lub oznajmi, po co tu przybył. Simeon postanowił najpierw się posilić. Ale jeśli spodziewał się, że rozmowa potoczy się dalej, gdy on będzie jadł, to się mylił. W tawernie panowała całkowita cisza, nie licząc odgłosów popijania piwa. Dziesięć minut później skończył posiłek.

– Należą się cztery szylingi, trzy pensy i jedna opowieść – poinformował go karczmarz.

Simeon roześmiał się.

– A jaka to ma być opowieść?

– O tym, co tutaj robisz.

Słowa mężczyzny zabrzmiały przyjacielsko, nie jak ostrzeżenie, więc Simeon nie miał oporów, żeby udzielić wyjaśnień.

– Jestem lekarzem. Jadę zająć się krewnym.

– A kto to taki?

Simeon zastanawiał się, jak miejscowi nazywają jego niemal wuja.

- Doktor Hawes.
- Proboszcz Hawes! – Właściciel uniósł brwi, a wokół rozległy się niskie pomruki. – A więc jesteś jego krewnym.
- Mój ojciec jest jego kuzynem.
- Czyżby? Nie sądziłem, że rodzina proboszcza pochodzi z innych okolic.
- Tak naprawdę nigdy go nie spotkałem.
- No cóż, jeśli nie jesteś z Mersei albo z Peldon, to nic dziwnego. Słyszałem, że choruje.
- Ludzie zaczęli szeptać między sobą, ale właściciel najwyraźniej był ich rzecznikiem.
- Dzisiaj się z nim zobaczę i sprawdzę – powiedział Simeon. Mężczyzna się zatroskał.
- Zaczekaj do rana. Idzie przyплыw.
- Dziękuję za radę – odrzekł Simeon. – Ale muszę pojechać dzisiaj. Doktor Hawes na mnie czeka.
- Morty, zawieziesz go? – zwrócił się karczmarz do jednego z mężczyzn, którzy nie mieli żadnych oporów, by przysłuchiwać się tej rozmowie.
- Jestem przewoźnikiem – odezwał się Morty. Był po sześćdziesiątce i miał drobną posturę, ale sprawiał wrażenie sprawnego, czego należało się spodziewać po kimś, kto zarabia na życie wiosłowaniem po strumieniach i rozlewiskach Essex. – Mam prom.
- Wygląda pan na dobrego przewoźnika.
- Ale skończyłem już pracę. Mam wolne.
- Na grobli jest teraz bezpiecznie? – spytał właściciel.
- Pewnie tak. Nie da się biegać, ale powinien jakoś przejść.
- To mi wystarczy – rzucił Simeon. Chciał czym prędzej ruszać. – Wskaż mi panowie drogę?
- Wszyscy jak jeden mąż wyjrzeni przez okno. Nie padało, ale było już po szóstej i zapadł zimowy mrok.
- Będziesz potrzebował lampy – zauważył właściciel,

wyraźnie powątpiewając, że młodzieniec z miasta, zapewne z Londynu, pomyślał, by zabrać coś takiego.

– Mam lampę.

– A buty wędkarskie?

– Nie wiedziałem, że będą potrzebne. Dam sobie radę.

Simeon popatrzył na swoje skórzane trzewiki do kostek. No cóż, widziały już lepsze dni.

– To posłuchaj. Musisz iść prosto tą drogą. Po jakimś czasie zmieni się ona w groblę. Kiedy znajdziesz się na Ray, już nie sposób zabłądzić. Dom Klepsydry to jedyny dom na wyspie.

Simeonowi to wystarczyło.

– Dziwna nazwa. Skąd się wzięła?

– Przed wejściem popatrz na wiatromierz, to będziesz wiedział. – Karczmarz się zawahał, jakby zamierzał poruszyć trudny temat. – Stary proboszcz to szlachetny człek. Czasem trochę dziwak, ale był dobry dla bratowej po tym, jak... no wiesz. – Wydało się, że sprawdza, jak wiele Simeon słyszał.

Rodziny skandal. Ci ludzie z pewnością wiedzieli o nim więcej niż on. Uznał, że warto z nimi porozmawiać.

– Tak, wiem, że zabiła jego brata.

Karczmarz jakby odetchnął z ulgą.

– Otóż to. To dobrze. Nie chciałem, żebyś był w szoku.

– Nie jestem. – Ojciec przedstawił mu podstawowe fakty, lecz nie zdradził szczegółów, w jaki sposób Florence zabiła męża, Jamesa, czyli brata Olivera. – Ale nie wiem dokładnie, co się wydarzyło.

– Nie wiesz dokładnie, tak? – W głosie właściciela tawerny brzmiało powątpiewanie. – Spytaj Morty'ego.

Morty wbił wzrok w Simeona.

– A więc nie słyszałeś, jak to było?

– Nie.

Przewoźnik wzruszył ramionami.

– No cóż, to twoja rodzina. Twoja sprawa. – W zasadzie miał



rację. To była sprawa Simeona, mimo że nie poznał żadnej z zamieszanych w to osób. Rodzinne powiązania bywają dziwaczne. – Zabrałem ciało... twojego wuja Jamesa czy jak go tam nazywaliście... z domu. Było w strasznym stanie. – Simeona ogarnęła ciekawość, zarówno zawodowa, jak i typowo ludzka. – Opuchnięta twarz. Żółta. Zaczął się psuć. – Przewoźnik na chwilę zamilkł. – Nazywają to „infekcją”. – Wymówił to słowo z namaszczeniem.

– Jaka infekcja? Co się stało?

Morty wzruszył ramionami, jakby powtarzał opowieść, którą wszyscy znali.

– Rozkwaśliła mu twarz. Rzuciła w nią karafką i szkło się potłukło. Ciało zaczęło się psuć. Porobiło się czarne i żółte. – Wskazał własne policzki i szczękę. – Nadął się jak świnia.

A więc Florence pokaleczyła twarz Jamesa na tyle głęboko, że zabiło go zakażenie krwi. To musiał być potężny cios.

– Wcześniej był z niego śliczny chłopak – odezwała się jedna z bogiń losu. – Największy przystojniak w hrabstwie.

– Dlaczego to zrobiła? – spytał Simeon.

Kierowała nim niezdrowa ciekawość, ale skoro wszyscy inni znali tę historię, to dlaczego on miałby jej nie poznać?

Morty ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie pytałem. Stało się coś bardzo złego, lepiej się w to nie zagłębiać. Położyłem trumnę w łodzi, popłynąłem do Virley i zaniósłem go do Świętej Marii. Teraz leży pod ziemią. Jeśli masz jakieś pytania, idź go zapytać.

– Morty – skarciła go bogini losu.

– No cóż... – Simeon z zadumą wypił łyk piwa. Inni w milczeniu zrobili to samo. – Wiesz, gdzie teraz jest pani Florence?

– Nie. – Morty popatrzył kolejno na wszystkich przyjaciół, a oni odwzajemnili jego ciężkie spojrzenie. – Niedługo się dowiesz.

# KALIFORNIA LATA 30. XX WIEK



## ROZDZIAŁ 1

*Los Angeles, 1939*

Oczy Kena Kouriana, bladozielone jak wysuszona trawa, skierowały się na poplamioną kawą kartkę. Papier także pachniał kawą, jakby ktoś nie tylko oblał go tym napojem, ale też przez kilkanaście godzin trzymał w pełnej filiżance.

- Nosi tytuł *Oblężenie Downville*.
- Rozumiem, a ja... – zaczął Ken.
- Jesteś żołnierzem, który właśnie wrócił z wojny.
- Której?
- Słucham?
- Której wojny? Wielkiej Wojny czy...
- Domowej, kurwa.
- W porządku. Jestem z Południa czy...
- Jesteś Jankesem! Starasz się o rolę Jankesa. Myślisz... Posłuchaj, dzieciaku, przeczytasz swoją kwestię czy ja mam ją przeczytać za ciebie?

To była największa szansa, jaką otrzymał od miesięcy, a za drzwiami stała kolejka chętnych, przeczytał więc swoją kwestię z jankeskim akcentem. Jego bohater został ranny i przed śmiercią musiał jeszcze raz zobaczyć się z ukochaną. Ken miał wrażenie, że scenariusz jest kiepsko napisany, ale nie chciał wyciągać

pochopnych wniosków, bo jeszcze nigdy nie grał w filmie, a jego doświadczenie sceniczne ograniczało się do teatru studenckiego i dwóch lat grania na podrzędnych scenach w Bostonie.

– Skąd jesteś? – spytał ostro tęgi mężczyzna za biurkiem, wpatrując się w Kena, jakby ten powinien nosić na czole etykietę bagażową.

– Z Georgii.

– Z Georgii! – Podrapał się po brzuchu między napiętymi guzikami koszuli. – To po jakiego diabła przypisali cię do roli Jankesa? Dlaczego nie grasz jednego z tych sukkinsynów z Południa, oprawcy niewolników?

– Nie mam pojęcia – przyznał Ken i zerknął na scenariusz.

– Ja też. – Mężczyzna, asystent producenta, wrzucił niedopałek cygara do wiadra z wodą, a ten zakolysał się na powierzchni, pozostawiając brązowy ślad. – Posłuchaj, synu, to nie jest twój dzień. Wróć innym razem.

– Na pewno wrócę – odrzekł Ken.

Wiedział, że to zrobi. Nie miał w zwyczaju ulegać pesymizmowi. Ken Kourian miał dwadzieścia sześć lat i jeszcze nie spoczął na laurach.

Jako mały chłopiec w Georgii patrzył na dalekie pasmo górskie Blue Ridge i widział w nim barierę, która oddzielała go od greckich wojen i zamorskich podróży. Potem, gdy nieco podrosł, zaczął je postrzegać jako przeszkodę na drodze do „pełniejszego życia”. Dlatego wyruszył w tę podróż i jako pierwsza osoba z rodziny dostał się do college’u, a teraz, w ramach pięcioletniego finansowego kaca, spłacał rodziców i dwa banki, dolar po dolarze.

Zabrał kapelusze, życzył twórcom filmu wszystkiego najlepszego i opuścił studio, wciąż trzymając w dłoniach kiepski scenariusz. Minęli go dwaj mężczyźni z doklejonymi wąsami wielkości kotów, ubrani w mundury unionistów. Ken sam nie wiedział, czy powinien im zazdrościć, czy współczuć, że dostali rolę.

Wyszedł na ulicę i gdy zobaczył przejeżdżający tramwaj,

wskoczył do niego, z nadzieją, że ten kieruje się w stronę plaży. Mimo że mieszkał w Los Angeles i Hollywood już od dwóch miesięcy, wciąż miał niewielkie pojęcie o geografii miasta. W jego rodzinnym miasteczku było więcej wiązów niż ludzi, a drzewa nigdzie się nie śpieszą, nie przepychają się na chodniku i nie pędzą na złamanie karku tylko po to, by ktoś odesłał je w inne miejsce. Owszem, spędził osiem lat w Bostonie – podczas nauki w college’u i potem, gdy parał się korepetycjami i próbował swoich sił w aktorstwie – ale wciąż tęsknił do spacerów po ścieżce usłanej miękkimi liśćmi. W Kalifornii musiał mu wystarczyć mokry piasek.

– Czy on jedzie na plażę? – spytał konduktora.

– Słucham?

– Na plażę.

– Plaża jest dziesięć mil stąd w przeciwnym kierunku. Jeśli chce pan tam dojechać, proszę wysiąść i złapać tramwaj jadący w drugą stronę, a na ósmym przystanku się przesiąść.

Wydało mu się to zbyt skomplikowane.

– A dokąd jedzie ten tramwaj?

– Ten? A jak się panu wydaje? Do śródmieścia. Sunset Boulevard. To w końcu chce pan dojechać do centrum czy na plażę? – Kobieta siedząca na jednym z miejsc wciskała konduktorowi pięciodolarowy banknot. – Nie mam jak wydać, siostró. Bilet kosztuje dziesięć centów.

– Powinien pan mnie uprzedzić, zanim wsiadłam – odparła naburmuszonym głosem.

– Zanim pani wsiadła? A niby jak miałem to zrobić? Byłem w pojeździe, a nie na ulicy obok pani. Ma pani drobne czy nie?

– Pojadę do centrum – oznajmił Ken.

– To będzie dziesięć centów. Nie wydam z pięciu dolarów.

Ken zapłacił i jechał dalej.

Przez kolejne dziesięć minut obserwował wsiadających i wysiadających pasażerów, próbując zgadnąć, czy pracują w branży

filmowej, czy może są szewcami, księgowymi, dokerami albo malarzami, gdy nagle zauważył niekończący się rząd drzew.

– Co to jest? – spytał konduktora.

– To? Nie musi się pan tym interesować. Jedzie pan do centrum.

– Ale chciałbym się dowiedzieć.

Konduktor jęknął.

– To Park Elizejski. Lepiej niech się pan trzyma od niego z daleka.

– Dlaczego?

– Pełno tam czarnych z Lincoln Heights. Zabiorą panu portfel i nie oddadzą, nawet jak pan ładnie poprosi.

– Och, naprawdę? – rzucił Ken ze zdziwieniem. Jego tata zatrudniał w gospodarstwie zarówno kolorowych, jak i białych robotników i płacił im taką samą stawkę. Ken próbował zaszczyć te wartości w swoich kolegach z liceum, ale wyśmiali go, gdy im o tym powiedział. W college’u tylko nieliczni ze zrozumieniem kiwali głowami, przyznając, że taka będzie przyszłość, ale i tak zatrudniali czarnoskórych lokajów za dwie trzecie stawki obowiązującej wśród pracowników o jasnej skórze, więc Ken ostatecznie stwierdził, że nie ma co na próżno strzępić języka. – Chyba i tak chcę tam zajrzeć.

– Jak pan uważa.

A zatem Ken Kourian, który mierzył sześć stóp i jeden cal wzrostu, miał spiczastą szczękę i muskuły zdrowego chłopaka z farmy i mógł się pochwalić dyplomem z literatury zdobytym na Uniwersytecie Bostońskim, wyskoczył z tramwaju i ruszył w stronę linii więzów.

Pośród bujnej roślinności parku panował chłód, choć dzień był tak upalny, że topiły się opony samochodów. Dotyk trawy i paproci pod stopami uspokajał Kena niczym leczniczy balsam.

Nowe sztywne skórzane buty przestały go uwierać i czuł się, jakby przemierzał zarośla na bosaka.

Ile drzew tutaj rośło? Dziesięć tysięcy? Sto tysięcy? Dawały miły cień, a Ken potrzebował ochłody po ostatnich frustrujących godzinach. Przed bramą powiedziano mu, że wytwórnia Paramount szuka aktorów do swojego nowego hitu, więc jeśli się zgłosi, może otrzyma jakąś niewielką rolę. To miało być przesłuchanie „otwarte”, co źle wróżyło, ale lepsze to niż odprawienie z kwitkiem.

Nie dostał tej roli. Jasne, czuł się rozczarowany, ale wiedział, że będzie miał kolejne szanse. Powiedzieli, że filmy z każdym rokiem zyskują na popularności, a to oznaczało liczniejsze obsady. Zamierzał być cierpliwy, a na razie zarabiał pisaniem ogłoszeń dla „Los Angeles Timesa”, co wystarczyło, by opłacić skromny czynsz. Miał nadzieję, że kręcąc się wokół ludzi pracujących w dziale rozrywki, będzie miał dostęp do informacji o nowych filmach, co pozwoli mu zgłaszać się na przesłuchania przed innymi kandydatami. To mogło się udać.

Szedł w upale kwietniowego popołudnia. Ptaki na drzewach podniosły wrzawę, a następnie poderwały się do lotu potężnym stadem, by poszukać jedzenia, wody albo innych rzeczy, których ptaki mogą pragnąć podczas gorącego dnia w Kalifornii. Ken zastanawiał się, co będzie robił tego popołudnia. Może zawędruje aż do centrum, a może znów wskoczy do tramwaju i wróci do swojego pensjonatu obok sklepu spożywczego, w którym, jak podejrzewał, potajemnie handlowano samogonem. Rozwahał, by wybrać się tam pewnego dnia i sprawdzić, co tak naprawdę oferują. Na razie szedł przed siebie.

Kiedy znów podniósł wzrok, znajdował się już po drugiej stronie parku, a dobiegające z ulicy odgłosy kłębiły się wokół niego jak komary. Chciał zawrócić i ponownie zagubić się pośród drzew, ale poczuł pragnienie, a neony na pobliskiej restauracji wyglądały bardzo zachęcająco.

Wszedł do lokalu, gdzie panowała właśnie obiadowa gorączka. Restauracja była tak oblegana, że został tylko jeden wolny stolik. Stał w narożnym boksie, wyłożonym ciemnozieloną sztuczną skórą, która zapewne pochodziła z fabryki oddalonej o tysiąc mil od najbliższej krowy. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że siedzi tam jakaś dziewczyna. Zajmowała miejsce pod ścianą, gdzie nie było jej widać. Odniósł wrażenie, że próbuje nie rzucić się w oczy.

Znieruchomiał, ale popatrzyła na niego z wyczekiwaniem w dużych brązowych oczach.

– Czy mogę się przysiąść? – zapytał.

– Jasne – odrzekła powoli, jakby wciąż zastanawiała się, czy nie zmienić zdania.

Z wdzięcznością skinął głową i usiadł. Dziewczyna popijała kawę z mlekiem i kartkowała czasopismo o filmach dźwiękowych. Szczupła, z lekko skrzywionymi ustami, jakby oparzyła się za gorącym napojem, miała na sobie kremowy turban, kremową bluzkę i obcisłe kremowe spodnie. Ken sięgnął po leżący w szklanym naczyniu na skraju stołu jadłospis.

– Ich specjalność to ciasto brzoskwińowe – oznajmiła, nie czekając, aż on zapyta.

– Czy to znaczy, że jest smaczne?

– To znaczy jedynie, że jest ich specjalnością.

Pojawiła się kelnerka z notesikiem.

– Poproszę ciasto brzoskwińowe – powiedział. – Słyszałem, że to państwa specjalność.

– Jasne – mruknęła, notując zamówienie. – Coś jeszcze?

– Nie.

Wskazała końcem ołówka na dziewczynę.

– Płaci pan za nią?

Ubrana na kremowo dziewczyna popatrzyła mu w oczy. Coś w jej spojrzeniu powiedziało mu, że jeśli on nie ureguluje rachunku, to nikt tego nie zrobi.

– Tak – odrzekł.



- Mam nadzieję, że będzie warto – rzuciła kelnerka i odeszła. Ken i dziewczyna wpatrywali się w siebie przez kilka sekund.
- Dzięki – odezwała się w końcu.
- Nie ma sprawy.
- Ale muszę podziękować. W końcu uratował mnie pan przed kolejną ucieczką bez płacenia. To chyba ostatnie miejsce w Los Angeles, w którym jeszcze tego nie zrobiłam.
- Jestem tutaj dopiero od ośmiu tygodni. Dotąd ani razu nie uciekłem.

Rozpromieniła się.

- Och, to jest coś wspaniałego! – zapewniła go. – Redystrybucja ograniczonych zasobów.
- Niepłacenie za lunch to redystrybucja zasobów?
- Tak mi powiedział pewien... – Bezgłośnie wypowiedziała ostatnie słowo: „komunista”.

Ken spotkał kilku z nich w college’u. Byli to bardzo poważni młodzieńcy, którzy skwapliwie zapuszczali brody i opowiadali o sowieckim cudzie. Nie przepadał za ich towarzystwem.

- On także uciekał bez płacenia? – spytał.
- Nie, pochodził z bogatej rodziny. – Rozmowa straciła impet, bo trudno było coś na to odpowiedzieć, więc Ken wyjął z kieszeni bezużyteczny już scenariusz *Oblężenia Downville* i położył go na stole. Dziewczyna popatrzyła na tekst i uśmiechnęła się szeroko. – Jest pan aktorem!

– W pewnym sensie. – Zamilkł, a ona najwyraźniej odgadła prawdę. – Właśnie wracam z przesłuchania.

- Dostał pan rolę?
  - Raczej nie.
- Odchyliła się na oparcie, z zadowoloną miną, która wyparała wszystkie inne emocje z jej twarzy.

– Trzeba znać ważnych ludzi – powiedziała. – Znać ich prywatnie. Tylko tak można się przebić.

Najwyraźniej subtelnie dawała mu do zrozumienia, że ma

znajomości, których jemu brakuje, co go ubodło, zwłaszcza że płacił za jej kawę. Ale podczas swojego krótkiego pobytu w Los Angeles odkrył już, że właśnie tak rozmawia się tutaj z nieznajomymi. Każde spotkanie to pojedynek o pozycję, niczym konfrontacja dwóch ulicznych kotów, które walczą o zawartość śmietnika.

– Na to wygląda – przyznał.

– A chciałby pan tego?

– Ja...

– Bo mogę to panu załatwić. – Nachyliła się i zaczęła szybko mówić. – Jutro idę na przyjęcie na plaży. Odbędzie się w domu Olivera Tooke'a. – Zaczekała na jego reakcję. – Pisarza...

Nazwisko brzmiało znajomo, ale na razie nie chciał się w to wgłębiać.

– W porządku – rzucił niezobowiązująco.

– Przynajmniej mam nadzieję, że jutro wyprawi przyjęcie. Robi to w większość dni. Wprowadzę pana.

Oliver Tooke. Oliver Tooke. No tak. Przypomniawszy sobie, że słyszał to nazwisko w radiu, w jakiejś audycji literackiej. Ale nie pamiętał, o czym była omawiana książka ani co o niej sądził prezynter.

– Zna go pani?

– Widuję się z nim – odrzekła z dumą.

– Często?

– Przedstawiono nas sobie w nocnym klubie.

Przyjaźń była tania w tym mieście. Ken popatrzył na scenariusz. Pod nim leżały okruchy.

– Pójdę z panią.

– Mam na imię Gloria.

– A ja Ken.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).